



Ogień we mgle
Livvie Nexuzu

© Copyright by Livvie Nexuzu

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie, udostępnianie i kopiowanie całości lub części niniejszej publikacji jest zabronione bez pisemnej zgody autora.

Okładka: <https://pixabay.com>

Opowieść porusza tematy związane z miłością męsko-męską.

Tylko dla pełnoletnich czytelników.

Rozdział 1 – Szalony świat

Wpatrywałem się z uwagą w swój lewy nadgarstek. Niemal namacalnie wyczuwałem płynącą w żyłach krew. Ostrzem noża nieznacznie dotknąłem niebieskawych linii, leżących tuż pod powierzchnią skóry. Napięcie, które rozsadzało mnie od środka, desperacko domagało się ujścia. Wystarczyło zatopić metal głębiej w swoim ciele, aby to napięcie uwolnić.

I co dalej, głupi? Przenieść się w zaświaty? – Równie ostry jak nóż, logiczny głos w mojej głowie błyskawicznie przywołał mnie do porządku.

No tak.

Czułem się parszywie, ale czy do tego stopnia?

W tej chwili nie, tylko badałem grunt, ale czasami...

Nazywałem takie stany – podróżami do piekła.

Kiedy stamtąd wracałem, wydrążony z wszelkiej energii, jedyne czego pragnąłem, to zapomnieć, że coś takiego w ogóle miało miejsce.

Czym prędzej schowałem nóż do szuflady biurka. Na samo dno, aby nikt przypadkiem go nie zobaczył.

Abym ja sam nie musiał go oglądać, kiedy funkcjonowałem w miarę normalnie.

– Liam, odrobiłeś już lekcje? – spytała zza drzwi mama.

– Akurat skończyłem – skłamałem gładko.

– To pomóż Dianie z jej pracą domową z matematyki.

– Za chwilę do niej zajrzę.

– Obiad będzie gotowy za pół godziny.

– Okej.

Usłyszałem oddalające się kroki i odetchnąłem głęboko. Nauczyłem mamę jakiś czas temu, aby nie wparowywała do mojego pokoju, ot tak sobie, bez pukania. Z początku była obrażona, ale ostatecznie przyjęła taktykę mówienia zza drzwi, gdy chodziło o błahe sprawy, a pukała tylko w razie konieczności. Miałem

osiemnaście lat i odrobina prywatności we własnym pokoju stanowiła minimum niezbędne moich oczekiwań.

Tak, moje cztery czerwone ściany stanowiły mój azyl. I nie, kolor nie był ani męczący, ani krzyżący.

Co to ja miałem zrobić?

Aha, pomóc swojej roztrzepanej siostrze uporać się z gnębiącymi ją problemami natury matematycznej. Podczas gdy ja sam miałem hopla na punkcie liczb, Dianę przedmioty ściśle napawały głębokim obrzydzeniem.

– Wchodzę, mała. – Podrapałem paznokciami o jej drzwi, co ją zwykle drażniło.

Dziś było nie inaczej.

– O matko, nie możesz wejść jak normalny człowiek? Zostawiłam przecież otwarte. Ja akurat nie mam żadnych mrocznych tajemnic, aby się tak ciągle zamykać!

Mrocznych tajemnic?

Moje serce zamarło na ułamek sekundy.

Nie... tak tylko sobie paplała, nie mogła nic wiedzieć.

– Masz obrotny język jak na trzynastolatkę. Chcesz tej pomocy, czy może jestem na to zbyt mroczny? – rzuciłem z przekąsem, zatrzymując się pośrodku jej pokoju pełnego dziewczęcych drobiazgów – maskotek, spinek do włosów, kolorowych magazynów dla nastolatek i tak dalej.

– Sorki. – Zrobiła wielkie i zarazem słodkie oczy jak kot ze *Shreka*. – Tak tylko gadam bez namysłu. Wielkie proszę, uratuj mnie przed tymi matematycznymi koszmarkami.

Przewróciłem oczami.

– Dobra, dawaj zeszyt. – Dostawiłem drugie krzesło i usiadłem obok niej przy biurku.

Włosy Diany opadały czarną kaskadą na ramiona, a jej seledynowe kocie oczy wpatrywały się we mnie z nadzieją. Za kilka lat stanie się obiektem

westchnień napalonych nastolatków i mężczyzn. Jako odpowiedzialny (powiedzmy) starszy brat, będę musiał się z tym wszystkim użerać.

Tymczasem zerknąłem do jej zeszytu i miałem ochotę parsknąć śmiechem. Zadania były dziecinnie proste. Czego można było tu nie rozumieć? Wyraz mojej twarzy musiał zdradzać to, o czym myślałem, ponieważ moja siostra nastroszyła się.

– Dla ciebie to wszystko jest proste!

Wszystko? Gdyby tylko wiedziała...

Nie chcąc jej bardziej zdołować, zacząłem spokojnie tłumaczyć, tak zrozumiale, jak tylko potrafiłem i w efekcie Diana doznała oświecenia.

– Faktycznie, łatwizna. Dzięki, Liam!

– Żaden problem. Chodźmy na obiad.

Na słowo „obiad” poderwała się ochoczo z krzesła i nie czekając na mnie, popędziła do salonu. Poczłapałem za nią z dużo mniejszym entuzjazmem. Nie chodziło o obiad sam w sobie, po prostu mogłem się spodziewać, że dodatkowo czeka mnie ciężkostrawna rozmowa na temat mojej przyszłości.

– William – powitał mnie zza stołu surowym głosem tata.

Liam – poprawiłem go w myślach.

– Już podaję, już podaję. – Mama z rozwianym włosom krążyła między kuchnią a salonem, w międzyczasie poprawiając idealnie stojące w wazonie lilie, róże i gerbery.

Po jakie лихо to tempo, przecież się nie pali! – Miałem ochotę parsknąć z irytacją.

Ale tak już było.

Tata ze stoickim spokojem i kamienną twarzą obserwował wszystko i wszystkich wokół swoimi nieprzeniknionymi, ciemnymi oczami, a mama usiłowała udowodnić (chyba sobie najbardziej), że jest perfekcyjną panią domu.

Moja siostra również podrygiwała niecierpliwie na krześle, jak mniejsza kopia naszej matki, tylko z nieco bardziej zrównoważonym charakterem.

Ja natomiast byłem mieszanką obojga. Rude włosy odziedziczyłem po tacie, kolor oczu dzieliłem z mamą i siostrą. Sztywność w zachowaniu przypadła mi w udziale po tacie, roznoszące mnie emocje po mamie. Z tym, że w przeciwieństwie do niej, tłumilem je w sobie, ponieważ mój chłodny, logiczny umysł traktował z pogardą wszelkie formy przejawskrawień w sposobie bycia.

– William – powtórzył z naciskiem tata, kiedy nie poświęciłem mu należytej uwagi przy pierwszym podejściu.

– Tak?

– Niedługo kończysz szkołę.

Jakbym sam o tym nie wiedział.

– Planujesz studiować księgowość.

– Tak, bo lubię liczby.

– Też mi nowina – mruknęła Diana.

– Lepiej pomóż mamie w kuchni, w końcu jesteś dziewczyną – rzuciłem złośliwie.

– Seksista!

– Jasne, a teraz sio.

– Pomóż matce – poparł mnie tata, ale nie miałem złudzeń odnośnie jego intencji. Po prostu chciał mnie przycisnąć do muru bez świadków, a ja tylko niepotrzebnie się podłożyłem.

Diana, rezolutna jak na swój wiek, również zorientowała się w czym rzecz.

– Już idę – powiedziała do niego grzecznie, a w moją stronę posłała pełen zadowolenia uśmiezek.

Koniec z korkami z matmy – zdecydowałem w duchu.

– I w międzyczasie planujesz pracować na część etatu. – Tata patrzył na mnie ze wzmożoną uwagą.

Ugiąłem się pod ciężarem jego spojrzenia i spuściłem wzrok.

– Tak. – Zacząłem machinalnie miętosić w rękę rąbek kolorowej papierowej serwetki.

– To dobrze o tobie świadczy, ale czy temu wszystkiemu podołasz? Nie chodzi mi oczywiście o przyswajanie wiedzy, ale o twoje problemy z koncentracją. W pracy też będziesz musiał być skupiony.

– Może dodatkowo zapiszę się na jogę – wysiliłem się na żart.

Najwyraźniej kiepski, bo tata nawet się nie uśmiechnął. Jak już coś, to jego spojrzenie stwardniało.

– Przełóżcie tę rozmowę, Waldemar. – Moja mama weszła do salonu i zaczęła rozkładać sztuce.

Podobno swego czasu próbowała go nazywać Waldi, ale nie spotkało się to z przychylnym nastawieniem głównego zainteresowanego.

– W porządku, Mirando. Co na obiad? – zapytał ku mojej niewysłowionej uldze. Przesłuchanie zostało odroczone na, w co nie wątpiłem, niedalekie potem.

– Pieczone piersi kurczaka z pesto, pomidorami i mozzarellą. Do tego makaron tagliatelle i sałata z sosem winegret. Na deser – ciasto malinowe.

– Pychota – podsumowała moja siostra z błogim wyrazem twarzy. Zaczęła wnosić talerze i widać było, że nie może się doczekać, aby dostać się do jedzenia. Nic dziwnego, co jak co, ale nasza mama była wyśmienitą kucharką.

Podczas obiadu obie trajkotały o ciuchach, odmóżdżających telenowelach i od czasu do czasu padał tekst połączony ze wzdychaniem, jak to chłopcy/faceci niczego nie kumają. Tata z namaszczeniem konsumował obiad, a ja nie mogłem się doczekać, kiedy skryję się w samotni swojego pokoju.

Niedługo potem tak się stało. Trochę surfowałem po Internecie, zahaczając o gry, słuchałem muzyki. W międzyczasie w ramach kolacji pochłonałem kilka batonów czekoladowych i tak nastał wieczór.

Później noc.

Moje ciało zaczynało się rozluźniać z zamiarem odpłynięcia w beztroski sen, ale podświadomość miała inne plany.

To, co skrywało się przed światem realnym, wypełzło na powierzchnię, w sprzyjającym temu stanie – między jawą a snem.

Lęki.

Niepokoje.

Jak stado rozpędzonych pajaków, osaczających moją duszę.

Karmiących się moim rozchwianiem.

Mój oddech spłycony, spanikowany, ledwie wydobywający się z piersi.

Spiralne schody w dół.

Wprost do więzienia własnych ograniczeń.

Otworzyłem oczy i zdawało mi się, że zobaczyłem pajaka biegnącego po ścianie.

Zapaliłem lampkę, ale ściana była pusta.

Mam dosyć! – pomyślałem. *Kurwa, niech się w końcu skończy ta mordęga!*

To ciągnęło się już zbyt długo i naprawdę potrzebowałem coś z tym zrobić.

Czemu by nie zacząć teraz? – Moja racjonalna strona dała mi wymagowanego kuksańca w bok.

Wstałem z łóżka i włączyłem komputer.

Tak po prostu.

Noc zaburzona majakami jakoś bardziej mnie zmobilizowała do działania niż dotychczasowe niechętnie podchody w ciągu dnia.

Wielokrotne i szybko porzucane.

W tej chwili było inaczej. Zupełnie jakbym osiągnął punkt krytyczny.

Zacząłem szukać kogoś, czegoś adekwatnego do mojej sytuacji. Ujmując to bezlitośnie, potrzebowałem specja od czubków, bo do takiej kategorii ludzi na chwilę obecną czułem, że się zaliczam.

Przez kilka godzin wertowałem różne strony, ale nic do mnie nie przemawiało, nikt nie wzbudzał mojego zaufania. Już byłem gotów sobie odpuścić, kiedy wyskoczyła strona, do której link od niechcienia wcisnąłem, mówiąc sobie, że to ostatnia próba.

Fundacja Armstronga¹ dla osób z zaburzeniami nerwicowymi, działająca we współpracy z NHS². Leczenie bezpłatne. Całodobowa opieka lekarsko-pielęgniarska. Liczba miejsc ograniczona, decyduje kolejność zgłoszeń. Dogodny dojazd z Londynu.

Moją uwagę przykuło nazwisko założyciela fundacji i zarazem psychologa klinicznego.

Dr Luther K. Armstrong.

Co nieco o nim słyszałem. Był autorem bestsellerowych książek z zakresu psychologii (nawet jedną kupiłem, ale na razie stała nietknięta i tylko dumnie się prezentowała na mojej półce).

Cholera – zasepiłem się nagle. Liczba miejsc ograniczona. I do tego niewątpliwie dochodziła długa kolejka.

Byłoby super wpasować się tam na wakacje, zanim wezmę się za zgłębianie tajników księgowości.

Z kolei w razie jakby mnie przyjęli, czy naprawdę chciałem iść do wariatkowa?

A czy miałem jakiś wybór?

Jasne, mógłbym rozejrzeć się za terapią indywidualną, a nawet grupową na oddziale dziennym w Londynie, ale znając siebie, szybko odpuściłbym sobie całą imprezę. Jedyne pobyt w całodobowym ośrodku, z dala od domu, oferował mi szansę spojrzenia z dystansem na swoje problemy.

Zadzwoić w środku nocy nie mogłem, więc wysłałem e-maila ze swoimi podstawowymi danymi i niech sami oddzwaniają.

Zrobiłem to na tyle szybko, aby nie ulec podszeptom strachu, które sugerowały zaprzestanie działań i potem równie prędko wyłączyłem komputer.

Co ma być, to będzie.

Dobranoc.

¹ Fikcyjna fundacja.

² National Health Service – publiczna służba zdrowia.

Rozdział 2 – Fundacja Armstronga

Siedziałem w autobusie wiozącym mnie do miasteczka Winter Cherry³. Tuż za jego granicami mieściła się siedziba fundacji, do której właśnie zmierzałem, z duszą na ramieniu.

Przeleciałem w głowie ciąg zdarzeń od tamtej pamiętnej nocy do chwili obecnej.

Szkoła zaliczona.

Rozmowa z rodziną...

Skrzywiłem się.

„Źle się czuję, muszę dojść do ładu sam ze sobą, jestem zagubiony...”

Moje bezwładne, zawstydzone słowa, ledwo wyduszone z siebie.

I cisza.

Miażdżąca, wszechogarniająca.

Zdziwienie, dezaprobaty, niezrozumienie.

„Nie znam się na tym” – oświadczył wtedy tata.

„Skoro musisz”. – Mama nie wiedziała, jak się zachować. „Ale zamierzasz studiować?”

„Tak”.

„To w sumie coś jak sanatorium?” – próbowała znormalizować sytuację.

„W pewnym sensie można tak to ująć” – poszedłem jej na rękę.

„Jakbyś czegoś potrzebował, daj znać, to ci dowiozę”. – Mama uśmiechnęła się nieznacznie.

„Dzięki”.

„Będę tęskniła” – szepnęła Diana, również próbując się w tym odnaleźć.

„Ja również, mała”.

Pociągnęła nosem.

³ Fikcyjne miasteczko.

To na razie, rodzinko!

Zobaczymy się, gdy mnie naprawią.

Chyba.

Spojrzałem przez okno. Nic specjalnego. Zwykły wiejski krajobraz. Ale w tej prostocie było coś kojącego. Może to kwestia koloru? Zielony podobno uspokaja.

Jechałem tą trasą już po raz drugi. Kilka tygodni temu miałem umówioną wizytę w siedzibie fundacji z jednym z terapeutów. Przyjął mnie psychiatra – doktor Axel Thomas, chudy okularnik przed trzydziestką, o szarych oczach i rudoblond włosach. Był wysoki, mógł mieć jakieś metr osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu.

Wyłuszczyłem swoje problemy, on przyjął do wiadomości moje słowa, ale niemal natychmiast poinformował mnie, że najbliższy dostępny termin przypadał dopiero na początek października. Była kolejka, ale gdyby wcześniej zwolniło się miejsce, to dadzą mi znać. Zakląłem w duchu i zamierzałem dać sobie spokój, bo za kilka miesięcy miałem zamiar rozpocząć studia.

I wtedy coś się stało.

Zadzwoił telefon.

Niby nic nadzwyczajnego, ale jak się wkrótce okazało, to było niezwykle.

Doktor Thomas z zaskoczoną miną podniósł słuchawkę, przez chwilę słuchał ze zmarszczonym czołem głosu po drugiej stronie linii telefonicznej, zerknął na mnie, przytaknął osobie, z którą rozmawiał i zakończył połączenie.

„Okazuje się, że może pan zostać przyjęty trzydziestego czerwca” – powiedział z wyrzutem, zupełnie jakbym zrobił coś złego.

„Interwencja sił wyższych?” – Uniosłem wyzywająco brew.

„Można tak powiedzieć”. – Wyraz zdziwienia nie schodził z jego twarzy.

Wyszedłem, zastanawiając się, co u licha właśnie zaszło.

Minęło kilka tygodni i jechałem z powrotem. Tym razem ze średnio ciężką walizką i wyjątkowo ciężkimi myślami.

Po przybyciu do Winter Cherry musiałem przesiąść się do lokalnego autobusu, którym dojechałem wprost do celu swojej podróży. Za bramą w oddali, otoczona zielenią, widniała siedziba fundacji. Była to starodawna, urokliwa rezydencja, do której prowadziła malownicza dębowa aleja. Widok przed moimi oczami tchnął spokojem i z powodzeniem zmanipulował moje skołatane zmysły do pewnego odprężenia. Ani się obejrzałem, a wkrótce dotarłem do „wrót przeznaczenia”. Moja ręka zawisła na moment w powietrzu, zanim sięgnąłem po masywną klamkę i wszedłem do środka.

Skierowałem się do gabinetu lekarskiego, tego samego, w którym poprzednio odbyłem rozmowę. Doktor Thomas powitał mnie z umiarkowanym entuzjazmem, ale z zawodową uprzejmością. Ja sam nie czułem potrzeby, aby się tak wysilać. W końcu byłem pacjentem z problemami psychicznymi, a to zwalniało mnie z dbania o pozory.

Tymczasem doktor Thomas poprawił okulary, które zjechały mu na czubek nosa i rozpoczął swój wykład:

– Został pan przyjęty na dziesięciodniowy pobyt w naszej placówce, gdzie podejmie pan leczenie w jednej z naszych dwóch grup. Ta, do której został pan przydzielony, jest mniej liczna i ma charakter bardziej zaawansowany. Będzie pan uczestniczył w terapii zajęciowej, psychoterapii grupowej, indywidualnej, w zajęciach z psychorytmu, psychodramy i muzykoterapii. Posiłki są trzy razy dziennie. Z rana jest gimnastyka. Cisza nocna obowiązuje od godziny dwudziestej drugiej do szóstej rano. Pokoje są dwuosobowe, swój będzie pan dzielił z panem Mikaelem Larssonem. – Nie wiedząc czemu, spojrzał na mnie przy tym w szczególny sposób, którego nie potrafiłem zinterpretować. – W międzyczasie organizujemy wycieczki do Londynu bądź na łono natury.

– A nie jesteśmy już na łonie natury? – spytałem, bo nie mogłem się powstrzymać. Jego monotony głos działał mi na nerwy. Miałem nadzieję, że nie zostanie moim lekarzem prowadzącym, chociaż na to się niestety zanosilo.

Obdarzył mnie zirytowanym spojrzeniem, ale wytresowany profesjonalizm zwyciężył. Kontynuował, jakbym nic nie powiedział:

– To tyle w skrócie. W razie jakichkolwiek pytań jestem do pańskiej dyspozycji.

Facet, twój zapal wprost powala na kolana – pomyślałem drwiąco.

– Proszę wypełnić te kwestionariusze. – Podał mi plik papierów.

Sięgnął po słuchawkę telefonu, wymamrotał do niej kilka słów i niedługo potem do gabinetu wtoczyła się korpulentna pielęgniarka w średnim wieku z imponującym blond kokiem upiętym na czubku głowy.

– Jestem Cassie – przedstawiła się z naturalną życzliwością. Ona przynajmniej nie zmuszała się do bycia, kim nie jest.

Jak pewien nadęty lekarz, który udawał dobrego Samarytanina tak kiepsko, że aż odrzucało.

– Przez pierwszy weekend nie wolno panu opuszczać ośrodka, ale w kolejne będzie pan mógł pojechać do domu – dodał szybko na zakończenie.

Wzruszyłem ramionami. Może to i lepiej. Rodzina wciąż przetrawiała fakt, że wylądowałem w miejscu, o którym lepiej nie mówić.

Gorsze już było tylko więzienie.

Nie zwracając sobie głowy pożegnaniem, wyszedłem z gabinetu.

Cassie uśmiechnęła się z lekkim rozbawieniem.

– Początki zawsze są trudne, ale szybko zaaklimatyzujesz się w tym miejscu – powiedziała z sympatią.

– Może – rzuciłem z powątpiewaniem.

Korytarz, którym mnie prowadziła, miał pastelowe ściany. Wisiały na nich oprawione w ramki formułki nawiązujące do zasad asertywnego zachowania, a także wypunktowane emocje i uczucia. A pomiędzy nimi całkiem zgrabnie wpasowywały się obrazy – jedne przedstawiające krajobrazy, inne abstrakcje, które najwyraźniej miały na celu zmuszać do głębszych przemyśleń.

– Tutaj znajduje się stołówko-świetlica. – Cassie zatrzymała się na moment przy sporej otwartej przestrzeni.

Zwyczajne, równo ustawione stoły i krzesła były w tej chwili puste. W rogu stało pianino. A ściany zdobiły namalowane kolorowe kwiaty, jak się domyślałem, owoc radosnej twórczości pacjentów – amatorski, ale całkiem znośny dla oka.

– Jest niedziela, większość osób wyjechała na weekend. Dopiero za kilka godzin to miejsce się zapełni.

Kompletnie mi to wisiało.

Ruszyliśmy dalej.

– Twój pokój ma numer trzynaście. Mam nadzieję, że nie jesteś przesądny?

– Moja siostra urodziła się trzynastego i ma się całkiem dobrze.

Roześmiała się, chociaż nie zależało mi na tym, żeby ją rozśmieszyć, czy też się jej przypodobać. Z drugiej jednak strony, w stosunku do niej byłem w stanie wykrzesać z siebie odrobinę dobrej woli.

– Powinnam to powiedzieć na początku. – Cassie obdarzyła mnie zbyt szerokim uśmiechem, który o dziwo nie wzbudził mojej irytacji. – Witaj w Fundacji Armstronga. I pamiętaj, kolacja jest o siedemnastej. – Stała przy otwartych drzwiach, nie zaglądając nawet do środka.

Westchnąłem, ale z uwagi na nią zdobyłem się na mały, wymięty uśmiech.

– Jasne.

Przyjęła to z zadowoleniem, po czym zostawiła mnie samego.

Mikael najwyraźniej miał w głębokiej pogardzie pojęcie ładu i porządku. Przez chwilę zastanawiałem się, które łóżko jest moje. W końcu to, na którym leżało mniej rzeczy, uznałem za swoje. Bez ceregieli zwałem tę część jego dobytku na podłogę i przepchnąłem ją na jego połowę pokoju. Na pewno wiedział, że ktoś nowy zostanie dziś przyjęty i mógł trochę ogarnąć swoje kłamoty. A na nie składały się głównie ubrania pasujące w znacznej mierze do

bywalca koncertów rockowych, kryminały skandynawskich pisarzy i komiksy o mutantach.

Aha – pomyślałem tylko tyle, bo tak naprawdę nie z wynikało z tego, jak będzie się nam układać.

Rozpakowałem się i prawdę mówiąc, nie za bardzo wiedziałem, co mam ze sobą robić. Zanim poczucie niepewności zdążyłoby złapać mnie za gardło, szybko sięgnąłem po kwestionariusze i długopis, po czym opuściłem pokój. Uznałem, że korzystając z dobrej pogody, usiądę na jednej z alejowych ławek i odrobię pracę domową.

„Kim jest dla ciebie twoja matka?”

Rany, Freud się kłania.

„Jest moją matką”. – Moja odpowiedź była wyjątkowo oględna. Pewnie nie o to im chodziło.

„Jaki jest twój wymarzony zawód?”

Przewróciłem oczami.

„Księgowy”.

Niech się nad tym głowią. Równie dobrze mogłem mieć na myśli – księgowy mafii.

„Ilość partnerów seksualnych – proszę zaznaczyć jedną z opcji:

0

1-5

6-10

10+ (należy podać przybliżoną liczbę partnerów)”.

Teraz naprawdę się wnerwiłem! To niczyj interes. Poczulem, jak moje policzki się nagrzewają. Nie dlatego, że byłem pruderyjny, tylko... niedoświadczony. I wstyd mi było odhaczać zero. Mój długopis zawisł nad 1-5, ale ostatecznie zaznaczyłem pierwszą opcję. Niech się doktor Thomas zwija ze śmiechu, chociaż moim zdaniem, sam wyglądał na amatora w tych sprawach.

– Jak idą testy?

Omal nie podskoczyłem na dźwięk młodego męskiego głosu.

– Powoli – mruknąłem, spoglądając na osobnika, który przerwał mi badania nad własną psychę.

Wyglądał na jakieś dwadzieścia cztery bądź pięć lat, był blady i najwyraźniej wrogo usposobiony do grzebienia, ponieważ jego gęste, czarne włosy miały własną koncepcję, jak powinny leżeć, a raczej sterczeć na głowie. Ubrany był w wyciągnięty niebieski sweter, a luźne jeansy niemal zjeżdżały mu z siedzenia. Całości dopełniały znoszone trampki, w tym jeden z nich był rozwiązany. Swoim wyglądem pasował do przestrzeni zajmowanej przez Mikaela.

– Jesteś może Mikaelem, moim współlokatorem? – wyrwało mi się z niepokojem.

– Nie – odparł, chichocząc.

Całe szczęście, bo gość był raczej dziwny. Kto wie, może to jakiś ciężki przypadek. Nie chciałbym obudzić się w środku nocy, z nim wpatrującym się we mnie bez ruchu i bez mrugania powiekami.

– Jak widzisz, jestem trochę zajęty – próbowałem go taktownie splawić.

Nie udało się. Usiadł obok mnie.

– Mam na imię Kazuhiko – rzucił jakby mimochodem, zawiązując sznurowadło.

A tak, faktycznie. Rysy jego twarzy wskazywały, że w jakiejś części był Azjatą. Coś nas jednak łączyło, ponieważ sam byłem w połowie Polakiem, a w połowie Anglikiem, chociaż w moim przypadku chodziło tylko o inne narodowości.

– Liam – powiedziałem krótko i wsadziłem nos w papiery.

– Dlaczego tu jesteś? – nie dawał za wygraną.

Westchnąłem. Koniec z uprzejmościami.

– Ponieważ mam porąbane pod czerepem. Rozumiem, że jesteś w takim samym położeniu, więc pytania tego typu są absolutnie zbędne, nie sądzisz? – syknąłem.

– Może nie masz, a tylko tak ci się wydaje. Być może to, co cię do tej pory otaczało, nie było prawidłowe w swoim przekazie.

Kazuhiko popatrzył na mnie z uwagą, a ja zdębiałem. Wcześniej tylko przyjrzałem się jego wyglądowi, ale dopiero teraz tak naprawdę zobaczyłem w nim człowieka.

Jego złote inteligentne oczy zdawały się przeszywać mnie na wylot, a język ciała wyraźnie się zmienił. Już nie przypominał wyrzutka społeczeństwa.

– Nie jesteś pacjentem – stwierdziłem powoli.

– Przepraszam, że od razu nie przedstawiłem się dokładnie. Jestem doktor Luther Kazuhiko Armstrong. – Miał minę, jakby udał mu się dobry żart.

Wiedziałem, o czym pomyślał.

Oceniłem go powierzchownie i skreśliłem na starcie. Być może zrobiłoby mi się głupio z tego powodu, gdyby nie fakt, że nie przepadałem za ludźmi w ogólności.

– Mam nadzieję, że pański pobyt tutaj okaże się udany – powiedział, po czym znikł. Nie dosłownie, ale na tyle szybko i zwinnie się oddalił w stronę ośrodka, że można tak to ująć.

Jestem Alicją i właśnie wpadłem do króliczej nory – podsumowałem w duchu swoją sytuację. Zwinąłem w rulon testy i bez pośpiechu podążyłem w jego ślady.

Rozdział 3 – Mikael i Amelia

– Siema – powitał mnie przystojny blondas o brązowych oczach, kiedy tylko wróciłem do pokoju. – Jestem Mikael.

Wyglądał na dwadzieścia parę lat. Był dobre dziesięć centymetrów wyższy ode mnie, czyli mógł mieć z metr dziewięćdziesiąt. Jego ładnie wyrzeźbione ciało pokrywała niezgorsza kolekcja tatuaży, przy czym prym wiodły okazałe, o rozłożystych skrzydłach, smoki. A mogłem to wszystko dokładnie obejrzeć, ponieważ miał na sobie jedynie fabrycznie dziurawe jeansy. I bieliznę. Albo i nie.

Wyglądałem przy nim jak modelowy chłopiec, grzecznie ubrany w idealnie uprasowane – koszulę i spodnie, na którego rodzice potencjalnych dziewczyn spoglądają przychylnym okiem. Tyle tylko, że byłem gejem (jeszcze nie praktykującym) i daleko mi było do perfekcji – mój pobyt tutaj stanowił tego dowód.

– Liam.

– Aha, widzę, że robiłeś porządki – prychnął.

– Podobno połowa pokoju jest moja.

– Jasne, wyleciało mi z głowy, że ktoś nowy dziś przychodzi. Ostatnich kilka nocy kiepsko spałem. – Podrapał się po brodzie. Miał kilkudniowy zarost, który dodawał mu męskości. – Zostałeś przyjęty przez doktora Axela?

Przytaknąłem.

– Niezła z niego dupa.

Że jak? Wróc! Tak, jednak usłyszałem prawidłowo. No dobrze, koleś był gejem i swoim gejdarem wyczuł, że ja też.

– Nie mój typ.

– I nawet wiem dlaczego. – Blondyn uśmiechnął się nieco wrednie. – Bo jesteście w tym samym typie.

– Nie jestem przejętym sobą waźniakiem – oświadczyłem kategorycznie.

– Nie? Hm, ciekawe. – Wbrew ostatniemu słowu, najwyraźniej stracił zainteresowanie tematem.

Zerknął na swoją komórkę.

– Czas na wyżerkę. Idziemy, młody.

Schowałem nie do końca wypełnione testy do szuflady. Podejrzywałem jednak, że Mikael pewnie i tak się do nich dobierze. Chyba, że szybko bym je skończył i dostarczył „niezłej dupie” w osobie doktora Thomasa.

Tymczasem Mikael niedbałym ruchem wciągnął na siebie czarny T-shirt z napisem „Mroczny raj” i włożył czarne adidas.

– Usiądziesz ze mną i z Amelią – oznajmił, kiedy wyszliśmy z pokoju.

– Kim jest Amelia?

– Jedyna osoba do rzeczy w tym „przybytku radości”.

Tym razem świetlino-stołówka była niemal pełna. Podążyłem za nim do punktu wydawania posiłków i w chwilę potem z talerzem kanapek i kubkiem kompotu w rękach usiadłem wraz z nim obok różowowłosej dziewczyny o niebieskich oczach, chyba w wieku Mikaela.

– Mój nowy współspacz, Liam – przedstawił mnie ustami pełnymi kanapki z szynką. – A to Amelia, chodzimy ze sobą. – Spojrzał na nią prowokująco.

– Chciałbyś. – Dziewczyna roześmiała się naturalnie.

Miała na sobie fioletową, dosyć krótką, warstwową sukienkę. Amelia przypominała mi seksowną postać z mangi bądź anime, z tym że jej specyficzny wygląd najwyraźniej nie miał na celu wywoływać zainteresowania, ale był po prostu formą wyrażania siebie. Przynajmniej tak ją odebrałem.

– Za co siedzisz? – spytała, pałaszując z apetytem kanapkę z żółtym serem.

Głodzili ich tu czy co, że tak oboje rzucili się na posiłek, jakby to był ich ostatni?

– Za odstawanie od reszty, przy czym mam gdzieś tę resztę.

Niech wiedzą, że jestem antyspołeczny i na tle towarzyskim nie ma ze mnie większego pożytku.

– Oj, fajnie, to tak jak my – oświadczyła.

Popatrzyłem niepewnie najpierw na nią, a potem na Mikaela.

Wzruszył ramionami z kpiącym uśmiechem na twarzy.

– Rozejrzyj się.

W miarę dyskretnie omiotłem spojrzeniem salę. Większość ludzi była od nas starsza, niektórzy zatopieni w rozmowach, inni po prostu jedli kolację.

– Towarzycho wzajemnej adoracji, nie wszyscy, ale nawet w miejscu takim jak to, ludzie uwielbiają grę pozorów. Chcą, aby inni widzieli ich lepszymi niż są. Odrzuca mnie ten fałsz i obłuda.

– Mnie też – przyłączyła się ochoczo Amelia.

– Skąd wiecie, że nie jestem taki sam?

– Mówiłeś coś o odstawaniu od reszty.

– Racja – zgodziłem się.

– Z drugiej strony – rzucił lekko – może myślę się co do ciebie. Poza tym to, że dzielimy pokój, nie czyni z nas automatycznie psiapsiółek.

– Wcale tego nie oczekiwałem – odparowałem z przyjemnością.

– I za to plus dla ciebie. – Mrugnął do mnie okiem z rozbawieniem.

– À propos psiapsiółek. – Dziewczyna skrzywiła się niemiłosiernie. – Ta idiotka Jayne wywołuje we mnie odruch wymiotny. Moja współlokatorka – dodała wyjaśniająco.

– Szkoda, że nie ma tu jedynek – powiedziałem z westchnieniem.

– Tak i nie – odezwał się Mikael. – W miejscu takim jak to, samotność ma niestety swoją cenę. Ty kontra demony w twojej głowie. Lepiej jak ktoś z tobą jest, nawet jakiś kompletny niewypał.

– Wolalabym jedynekę – stwierdziła zdecydowanie Amelia.

Ja też – pomyślałem odruchowo, ale być może blondyn miał rację, a poza tym jako współlokator, nie dał mi się jeszcze we znaki.

– Co robicie wieczorami? – spytałem, dopijając swój kompot o lekko cierpkim smaku.

– Różnie. Mamy durne pogadanki, aktywności zespołowe, oglądamy filmy, a czasem organizowane są również wieczorki taneczne. – Dwa ostatnie słowa wymówił szyderczym tonem.

– Hej, nie jest tak źle. – Amelia trąciła go łokciem.

– Jest też szlaban na seks, ale dla chcącego nic trudnego – dodał z miną eksperta.

Ciekawe, czy był tylko erotomanem gawędziarzem, czy faktycznie aktywnie działał na tym polu.

– Ja nie mam w czym wybierać. – Różowowłosa zachmurzyła się i dodała głośniejszym głosem: – Kobiety tutaj to kompletna porażka.

Siedzące nieopodal nas dwie pacjentki zgodnie syknęły i rzuciły jej spojrzenie pełne dezaprobaty.

Amelia zignorowała je, a mnie coś napadło.

– Szkoda, myślałem, że mam szansę. – Spojrzałem jej głęboko w oczy.

– Wcale tak nie myślałeś, wolisz chłopców – odparła gładko.

– Czy ja noszę jakąś plakietkę z napisem „gej”?

– Swój pozna swego – powiedział oczywistym tonem blondyn.

– Dobra – poddałem się, ale dodałem znacząco: – Gdybym jednak nie był...

Na bank dosypali mi czegoś do tego kompotu, że wyjeżdżałem z takimi tekstami.

– Jesteś słodki. – Cmoknęła mnie w policzek.

– Taa... dosyć tego pierdzielenia – burknął Mikael. – Co powiecie na horror? Ściągnąłem niezły film o nawiedzonym szpitalu dla obłąkanych.

– To będzie ukoronowanie mojego pierwszego dnia pobytu tutaj – podsumowałem z czarnym humorem.

– No i gra. – Blondyn był najwyraźniej w swoim żywiole.

Posiedzieliśmy jeszcze trochę przy stole, potem moi nowi znajomi stanęli w kolejce po swoją porcję leków, wydawanych w dyżurce pielęgniarek i na koniec zaliczyliśmy średnio straszny horror na laptopie Mikaela.

Tuż przed dziesiątą Amelia wymknęła się do swojego pokoju. W chwilę potem rozległa się muzyka relaksacyjna. Nie odebrałem jej w ten sposób, w przeciwieństwie do Mikaela, który błyskawicznie zapadł w sen. Poczekalem cierpliwie do końca drażniacej mnie melodii i dopiero potem mogłem wziąć z niego przykład.